

# Poszukiwanie wizji

*Migawka*

Siedzę teraz na niewielkiej polanie wśród borówkowych krzaczków, w skąpym cieniu kosodrzewiny pod wierzchołkiem Babiej Góry. Podarowałem sobie trzydniowe odosobnienie, które w tradycji Indian Ameryki Północnej nazywane jest „poszukiwaniem wizji”. Od kilku dni nic nie jem i będę utrzymywał ten post przez kolejne trzy doby. Nie będę też pił oraz postaram się ograniczyć sen. Nie ruszając się z miejsca, tutaj na tej górze, pod gołym niebem będę czekał na to, co ma do mnie przyjść. Opróżniam swoje naczynie i otwieram się na przekaz, którym może obdaruje mnie ta góra.

\*\*\*

W ciągu dnia jest bardzo gorąco. Słońce króluje samotnie na czystym niebie, a ja próbuję się jakoś ochronić przed tą inwazją światła. Cóż z tego jednak, skoro o cień tutaj trudno. Kosówka jest zbyt niska, by mnie osłonić. Wtuliłem się więc między gałęzie, by tam jakoś przetrwać. Orzeźwieniem są podmuchy wiatru. Ten wiatr prowadzi hulaszczy tryb życia. Pędzi tam i tu, przeskakuje z kępy na kępę kosodrzewiny, szamocze się w borówczyskach i szumnie bierze się za rachityczne świerczki rosnące nieopodal. Zupełnie jak moje myśli. One też skaczą z tematu na temat, wirują w miejscu, by nagle przeskoczyć na coś innego. Siedzę spokojnie, ale w głowie mam nieustanny zamęt.



Na Babiej Górze. Fot. Ryszard Kulik

Wszystko tutaj do mnie coś mówi. Jestem nowy w tym miejscu, więc póki co nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Gdy leżę, chodzą po mnie mrówki. Nie zabraniam im tego, chyba że jakaś zechce spróbować przenieść mnie do mrowiska i zaciska na mnie swoje małe szczęki. Wokół lata również sporo owadów. Głównie muchy, ale też trzmielce zapylające kwiaty. Przyglądałem się im wnikliwie, jak zagłębiają się w kwiatową czeluść, by zaraz potem z rwetesem odlecieć w siną dal (choć dzisiaj mamy do czynienia raczej z błękitną dalą). Przed chwilą latał wokół mnie jakiś popiskujący żółtodziób. No może raczej szarodziób. Lądował na czubku świerczka i popiskiwał. Gdy podchodziłem do niego, zrywał się na równe skrzydła i odlatywał. Ale już po chwili był znowu, wykazując zainteresowanie moją osobą. Tak, zdecydowanie wzbudzam tutaj zainteresowanie.

\*\*\*

Nie wiem jak można nie spać trzy dni. Już pierwszej nocy zmógł mnie sen. Senność jest jak górska lawina, jak imperatyw, którego nie da się uniknąć. Czułem, jak cały wszechświat opada na moje powieki, a ja osuwam się w puszystą senność. Nad ranem było dużo wilgoci w powietrzu i cały mój śpiwór był mokry. Czekałem na słońce aż wszędzie i swoim ciepłem osuszy mnie i ogrzeje. Czułem się jak jaszczurka czekająca na ożywczą energię. W końcu zasnąłem w tym rodzącym się cieple dnia.

\*\*\*

Tutaj z góry - a patrzę na rozległą Kotlinę Nowotarską i Tatry - widać, jacy jesteśmy mali. Domy, tam w dole, są tycie. Ludzi nie widać. Pewnie są mniejsi niż mrówki. A jednak cała ta przestrzeń jest we władaniu człowieka. Wsie, miasta, pola i lasy są naszym tworem, z nielicznymi wyjątkami, jak torfowiska nowotarskie czy Tatry. W nocy cała ta przestrzeń migocze światłami. Jesteśmy tacy mali,

a zdołaliśmy opanować wszystko. A chcemy jeszcze więcej.

\*\*\*

Przede mną rozgrywają się wielkie spektakle na niebie. Najpierw słońce niepodzielnie królowało nad moją głową. Ale w południe nadeszły chmury. Najpierw wysoko, rozszczepiając światło na niezwykle halo, a następnie coraz niższe chmury zaczęły przewalać się nad wierzchołkiem Babiej. Słońce schowało się na dobre, zrobiło się chłodno. To, co jawiło się z daleka jako kłębiasty obłok, tak bardzo zniżyło swoje loty, że zamieniło się w mgłę – tutaj. Wierzchołek został spowity całkowicie, ale że jestem nieco niżej, mgły się rozproszyły. Mimo to kolejne porcje były tak gęste i nachalne, że przenikliwa wilgoć wdarła się również w moje zakamarki.

I wydawało się, że tak już zostanie. Aż tu niedługo przed zachodem, słońce przebiło się przez wilgotną czelusć. Nagle cała przestrzeń w dole zajaśniała. A przede mną, na wysokości oczu, niewielki strzęp mgły zajaśniał na żółto. Z chwili na chwilę zaczął tężeć, rozrastając się do okazałej chmury. Puszyste kawałki jak w tańcu tai chi powoli rozwijały się w górę. Oświetlany słońcem ten wilgotny kwiat zmieniał się nieustannie, stając się coraz większy i w końcu pięknie rozkwitając. Aż ni stąd ni zowąd zaczął zanikać. Rozświetlonej wilgoci było coraz mniej i mniej, by ostatecznie rozpląnąć się zupełnie. Takie to życie.

\*\*\*

Zwykle nie pamiętam swoich snów. Tutaj ostatniej nocy przyszedł do mnie aż trzy. Bardzo wyraziste. Pierwszy dotyczył jedzenia – aż się uśmiechnąłem do siebie w tym śnie, rozpoczynając piąty dzień głodówki. Byłem na jakiejś imprezie, to było przyjęcie z dużą ilością jedzenia. Ludzie siedzieli i jedli. I nie byłoby w tym niczego niezwykłego, gdyby nie to, że miałem silne przekonanie, że oni wcale *nie są głodni*. W końcu z jakimiś kolegami wyszedłem z tego lokalu. Włócząc się po mieście natrafiliśmy na kolejną restaurację, miło oświetloną pod rozłożystym drzewem. Usiedliśmy i zamówiliśmy jedzenie. Podczas tej kolejnej konsumpcji jeden z naszych kompanów zaczął wymiotować. Ale nie było to zwyczajne rzyganko. To były prawdziwe fontanny wymiocin na kilka, kilkanaście metrów. Obrzygał całe drzewo czymś w rodzaju pomidorowych pomyj. A druga struga zalała horyzontalnie chodnik i część ulicy. A my siedzieliśmy jakby nic się nie działo. Dalej ucztowaliśmy.

Drugi sen, a właściwie pół-sen, rozgrywał się w momentach, gdy przewracałem się w śpiworze na drugi bok. Teren, w którym mam legowisko, nie jest łatwy, jest nierówno i spanie wcale nie jest komfortowe. Budzę się więc wielokrotnie w nocy i szukam nowej pozycji. No i to szukanie i znajdowanie nowej pozycji stanowiło treść tego snu. Byłem na jakiejś świętej górze, gdzie rodzajem praktyki duchowej było znajdowanie odpowiedniej pozycji leżenia. Byłem chyba mnichem lub kimś w tym rodzaju. Przemieszczałem się, znajdując co trochę nową pozycję. Ale w końcu zauważyłem wokół siebie jakichś ludzi. Były to pojedyncze osoby, które świadczyły coś w rodzaju usługi dla innych. Wyszukiwały istniejące, odkryte już przez kogoś pozycje i sprzedawały je innym. Z kilkoma rozmawiałem; mówili, jaki mają cennik i które pozycje są najlepsze. Słuchałem tego ze zdziwieniem, ale dalej robiłem swoje.

W trzecim śnie byłem na wycieczce z kilkoma osobami. Nagle okazało się, że jest tam sporo dzieci w wieku przedszkolnym i młodszych. To były nasze dzieci, ale nie tylko. W miejscu, gdzie się zatrzymaliśmy, było dużo ptaków, przede wszystkim piskląt. Niektóre z tych ptaków były bardzo chore, miały biegunkę i jakieś dziwne objawy. Generalnie panowała atmosfera zagrożenia; coś niedobrego się działo. Również pisklęta nie wyglądały najlepiej. W końcu uznaliśmy, że trzeba się ratować. A dokładniej, że trzeba ratować te ptaki i nasze dzieci. Pamiętam, że biegłem długimi susami, trzymając na rękach dwójkę dzieci. Inni robili to samo. Ktoś zaopiekował się chorym

ptakiem. I tak biegliśmy, ratując siebie, nasze dzieci i ptaki.

\*\*\*

Jesteśmy złodziejami!

Kradniemy przyszłość naszych dzieci i dzieci naszych dzieci,

Od których tylko pożyczaliśmy tę Ziemię

Karmimy wciąż i wciąż nasze nienasyconie, mimo że wcale nie jesteśmy głodni

Wymiotujemy nadmiar, który nie ma się gdzie zmieścić

I z determinacją pochłaniamy kolejne kawałki ziemskiego tortu

Dla innych już nie starcza, wtedy chorują i umierają

Każdą świętość jesteśmy w stanie zamienić na pieniądze i napełnić nimi brzuchy

Aż robi się niedobrze

Czas się przebudzić z tego snu, czas ratować siebie, nasze dzieci i ptaki

Nadszedł ten czas, bo przecież wiem już, że

Jestem złodziejem...

\*\*\*

Tu, gdzie siedzę, jest Święte Miejsce

Wszystko śpiewa pieśń równowagi

Brzęczące owady, sunące obłoki, źdźbła traw kołysane przez wiatr

Krzaczki borówki i płaty kosodrzewiny

A nawet ten szumny wiatr

Wszystko bierze tyle tylko, ile jest

Nigdzie nie ma żadnego nadmiaru, rozpasania, złodziejstwa

Nikt nie jest zadłużony i nie martwi się o przyszłość

Jest tylko ta chwila

Ten podmuch, to brzęczenie, ten promień słońca

Branie i dawanie

Rywalizacja i współpraca

Życie i śmierć

Bez żalu i kurczowego trzymania się tego, co jest

Święta pieśń zmienności i równowagi, która przepęlnia tę górę

Wsluchuję się w nią teraz, by nauczyć się jej słów i brzmienia

By śpiewać ją swoim życiem

Bo czymże innym jestem jak nie tą Pieśnią

\*\*\*

To już ostatnie godziny w tym miejscu. Po trzech nocach i trzech dniach schodzę w dół. Jestem wdzięczny temu miejscu za gościnę i wszystkie lekcje, którymi zostałem obdarowany. Odchodzę spełniony, pełen dźwięków, zapachów, obrazów, wrażeń dotykowych i uczuć. Spotkałem swoje wizje. Niech mnie teraz prowadzą.

Niech tak będzie!

Ryszard Kulik